Miliony sekund — KatarzynaKoziorowska

Tysiące epok. Miliony sekund, odkąd zapoznałeś mnie ze swoim cieniem, o którym tak namiętnie myślałam. Pamiętam, że była to okazja bardzo uroczysta. Zapomniałam, ile lat trwała, ale cieszyłam się, że wreszcie Cię odzyskałam, prawdopodobnie na czas nieokreślony. Panie, pozwól mi wyzwolić się od tamtych schizofrenicznych wyobrażeń. Obawiam się, że lada moment pobocze nie będzie mogło czołgać się dalej, że pewnego dnia wszystko przepadnie jak ta sławetna bańka mydlana. Wyciągam ręce, te dwie poczciwe kończyny, i usiłuję odnaleźć pośród skażonych cząstek bólu tę jedyną, przy której będę czuła się bezpiecznie. Niestety, dłonie odmawiają posłuszeństwa – usiłują wywęszyć strach, o którym zdążyłam zapomnieć podczas trzydziestu jeden lat dziecięctwa.

Rozmarzyłam się dzisiejszego wieczora. Wyobraziłam Twoje dłonie, będące dziś moją własnością. Te dłonie… Pozostała w nich wydmuszka po miłości, jaką usiłowałam zasadzić w martwym sadzie. Dłonie miały cudowny posmak; kojarzył się z dłońmi mojego ojca, który odszedł, zanim zdążyłam go poznać. Kiedy dotykałam ich grzbietów… Kiedy mogłam się nimi delektować… To tak, jakby świat przestał na chwilę kręcić się wokół własnej osi. Czułam się, jakbym zapukała do drzwi sypialni Boga, a On łaskawie otworzył i ugościł mnie herbatą i cynamonowymi ciasteczkami, obowiązkowo własnej roboty. Niestety, wiedziałam, że te same dłonie nigdy nie wypożyczą mi namiętności. Nigdy nie podzielą przyjemnością, nie wręczą choć jednej zielonej łzy.

Zrozumiałam wtedy, co miał na myśli wiatr, o czym mamrotały drzewa podczas przydługich wieczorów – jesteś zbyt odległy, żebym zdołała uciszyć głód. Jesteś wystarczająco daleko, żebyś usłyszał krzyk moich wyrzutów sumienia, okrzyk bólu, który Bóg ofiarował mi zamiast posłusznych konstelacji. Więc… Więc Twoje serce już do końca będzie biło w przeciwną stronę. Spojrzenie nigdy nie odszuka łzy w moim oku. Usta, tak dobrze wyglądające w uśmiechu, nie zostawią skazy na moich. Włosy… Nie rozpoznam ich miękkości, ich zapachu kojarzącego się z cynamonem i pomarańczami. Nigdy nie przytknę twarzy do klatki piersiowej – szerokiej jak bezpieczna przystań, z miękkim sercem w środku, falującej uspokajająco.

Mój sen pozostanie wieczny; dzisiejszej nocy zasnę jeszcze raz. Po raz kolejny noc skończy się przed zachodem słońca. Tak okrutnie pragnęłam opowiedzieć Ci o śnieżnobiałych słowach, które bez ustanku drążą zatracone w sobie kłamstwo. Tak okropnie marzyłam, żeby z drzewa runął ostatni krwawy liść, liść tak bliski mojej nostalgii, która przybłąkała się nie wiadomo skąd i została już na zawsze. A jednak – jesteś, choć dzieli nas tyle niedokończonych oddechów, tyle spazmów, na które nie zasługuję. Jednak – mam Cię, choć słońce wykrwawia się potulnie, bez westchnienia. Z nieba odpruły się wszystkie gwiazdy, wreszcie widzę wyraźnie, jak Twoje kroki nie mieszają się z moimi. Nie udawaj, iż mój miniony czas jest ważny; nieistotne, że rozumiesz, iż jestem tu wyłącznie na próbę.

Próba… Nie, to jest trwalsze od próby. Próba może się nie udać, może przepaść z kretesem; a Ty wciąż jesteś, cały ze światła, cały z rubinowej wiary… Dlatego też modlę się do Ciebie. Proszę o jedno słowo. Słowo wypowiedziane byle jak, a dla mnie stanowiące ósmy cud, piątą porę roku, piąty kąt… Słowo, które padło z zacnych warg niby przypadkiem – a jednak czai się w nim ciąg dalszy mojej samotności. Mój Miły, cóż sprawiłam, że nie możesz mnie zrozumieć? Co się stało, że moje serce rwie się ku wiośnie, tej najprawdziwszej i jedynej, choć odwracasz pustą twarz? Od wielu tysiącleci trwa u mnie świt; świt, który nie może dobiec końca. Ten świt dokucza jak celnie zadany stygmat; ból, z którym od dawna jestem na „ty”. Mój świat… Jest pieczęcią, którą będę drażnić do skutku.

Rozumiem, że bezpieczeństwo, zadane mi przez Twoją dłoń, zostanie tylko złudzeniem, przyczyną mojego marazmu. Podążam przez wypatroszone pustkowie, poprzez otchłanie, w których szukam pobożności, aby mogła Cię zadowolić. Zbliżają się Święta, pora, kiedy ludzie stają się dla siebie milsi i serdeczniejsi choć przez parę dni. W Boże Narodzenie nikt nie powinien być sam – tak się powszechnie mawia. Wiem, że będziesz wtedy tak daleko, jak jeszcze nigdy. Obiecuję, że odłożę długopis i kartkę, zwrócę Cię rodzinie. Choć nie potrzebujesz mojego światła, choć i Ty dostrzeżesz pierwszą gwiazdkę – ukryję pod poduszką moje jedyne niebo, podarunek, którego nie potrafiłeś mi wręczyć.

To niebo… To niebo chciałabym dedykować Twoim oazom. Wiem, że śnię Cię o wiele częściej, niż się tego spodziewam. Niestety, ktoś wciąż wykrada senność… I co z tego, że widzisz moje wykrzyczane szeptem obietnice, skoro czas ponownie zadławił się własnymi wskazówkami? Obrzydła mi tutejsza noc. Przejadł świt, w którym zagnieździła się Twoja szelmowska pokora. Miłość powinna być źródłem cudów – a jednak, dziś jestem sama, choć czuję posmak ciepła, raniącego czule moje napięte, poprzecinane cieniutkimi ścieżkami żył nadgarstki.

Nie myśl, że żyję dla Ciebie; żyję dla miłości, którą sobie skrupulatnie zaplanowałam, grzecznie uknułam. I cóż? Nigdy nie wygonię Cię z mojego zwierciadła. Nie pozwolę, abyś wymknął się z mojego domu, choć nigdy w nim nie zamieszkasz. Nie zgodzę się, abyś tak po prostu sobie poszedł; Twoje myśli na zawsze pozostaną moimi. Poznam treść Twoich codziennych snów. I choć srebrzysty kwiat zniechęcenia rozkwitnie u wezgłowia kołyski, choć wszystkie gwiazdy odwrócą z niesmakiem twarze, a księżyc pozbiera manatki i przepadnie bez wieści – nigdy nie zdołam uchronić Cię przed moim odzyskanym zaślepieniem, moim pokornym oddechem, zaplątanym w sine włosy wiatru. Wiatru, który zaniesie Ci moje ostatnie życzenie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

KatarzynaKoziorowska, dodano 23.11.2021 19:16

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.